

# Ł A C Z N I K

Miesięcznik młodzieży Państwowego Seminarjum Naucz. im. M. Brzezińskiego w Leśnej-Podl.

## Powiew „Wiatru od Morza”—St. Żeromskiego.

Radość zapanowała w naszym gronie, gdy na biurku redakcyjnym ujrzeliśmy „Powiew Wiatru od morza”, artykuł, napisany przez abiturjenta naszej szkoły — Jana Makaruka.

Artykuł ten umieszczamy w całości z dwóch względów: dlatego, że treścią i formą swoją na to zasługuje, po drugie pragniemy, aby praca ta stała się istotnym wyrazem utrzymania łączności z tymi którzy rok rocznie opuszczają mury naszego zakładu

**Redakcja.**

Wsparty o głazy uwięzłe w piasku nadbrzeżnym—wsluchiwał się w cichy, rozlewny poszum morza.

Rytmiczne fale powiewu kołysały go do wół-jawy rozmarzeń o dawnych, zaprzyszłych latach nadbałtyckich krain. Dźwięczny ton poszumu morskigo, płynącego poprzez krainy prastarych Słowian, aż ku szczytom Tatr, wibrował mu w uszach w takcie trójmiarowym, wywoływał piękne mary wzrokowe, które on mocą swego genjuszu zaklinał w nieśmiertelne słowa. Te zaś pomne na rytm poszumu, brzemienne pełnią treści obrazowej, snuły się w takcie posuwistego poloneza, płasając w obrębie rozlewnych zdań, spajanych miejscami pomostem krótkich, ażeby trójkami świetnej wystąpić na widownię literacką.

Piękne, rozlewne spadały z krainy natchnienia rojem pszczelnym na pszesuwające się przed oczyma rojenia—obrazy, wyrosłe na tle wspomnień o prastarych lasach Polan, pokrywały je swemi skrzydłami od naleciałości czasowej pleśni i przedstawiały je czytelnikowi w pełni świeżości i krasy pierwotnej.

Peño ich było około poszumu, budzącego z uśpienia wizje—obrazy, pełno w podświadomości wypowiedzeń i pełno przy zawołaniu przez powiew myśli.

Świadom ich bliskiej obecności poczuł swą moc.

Miał obraz—treść i formę—słowo, chodziło tylko o tętno stylistycznego powiązania, ażeby czytelnik podobny rycerzom, których:

„Uszy ogłuszone odhuku zaczynały słyszeć teraz na nowo,  
— oczy przyuczone do barwy trupiobladej fali wchłaniały  
z niewysłowioną rozkoszą stałe smugi nad kątowiskiem zatoki,  
— płuca, przywykłe do wchłaniania olbrzymiego powietrza  
w morskich przestworzach, oddychały z ulgą w niemych okrę-  
gach małego morza”,<sup>1)</sup>

mając słowa, nie stracił nic z muzyki poszumu.

Kazał więc tańczyć słowom w takt trójmiarowy w zdaniach, a tym w całości logicznej.

Posłuszne woli mistrza brały się, jako części zdania, trójkami podmioty, orzeczenia, przydawki, przedmioty zdań i okoliczniki różnych odcieni i tańczyły posuwiście, bawiąc tem ciekawego widza-czytelnika.

A gdy jednostajność nudzić zaczynała, występowały dla zmiany nowe ugrupowania trójek w postaci zdań współrzędnych i nadrzędnych z podrzędnymi.

Wszystko tańczyło, płaśtało zgodnie z trójmiarem poszumu i tendencjami twórcy, który, chcąc urozmaicić ów taniec, układał coraz to nowe sploty słów, gromadził trójczłonowe zestawienia o podwójnym często układzie, podnosząc napięcie coraz wyżej, aby przy końcu zdania, jak po średniowiec wiersza, snadniej mogły spłynąć, wspierając się rozlewem o granicę całości, podobnie, jak wspierały się usprawiedliwienia najeźdców o instynkt zaborczy, upozorowany nierównomiernem stanowiskiem swych przeciwników.

— Bo czyż:

„Mieli morscy rycerze, których dzień upływał wśród boju, a sen  
wśród gromu i błyskawic, których jedynem zajęciem była

żegiuga,  
wojna  
i rabunek,

dochcwać wiary prostakom, zgarbionym w pracy

około zasiewów,  
dogładania żniwa i omłotu prosa,  
zabiegów około zbiórki

jagód  
orzechów  
i grzybów,

otrząsania po lesie dzikich jabłek i gruszek,  
warzenia potrawy z tłuczonego owsa i leśnego miodu,  
podbierania jaj przelotnego ptactwa i łowienia ryby?<sup>2)</sup>

Skąd? Oni dzielni, wielcy rycerze morscy!

<sup>1)</sup> 2 str. „Wiatr od Morza” — St. Żeromskiego, Wydawnictwo J. Morkowicza, Warszawa 1922 r.

<sup>2)</sup> 8 str.

To też dali się porwać „furji“ krwiożerczego instynktu, a autor dodał im do ich własnego uzbrojenia miecze z potrójnych bezokoliczników, którymi pozwalali sobie:

Wyrywać (wnętrznosci) z brzuchów, nożem rozdartych.

Wykłuwać starannie żrenice

omdlać,  
z lęku oślepić,  
błagaine!

3) *Odtamywać* zebra<sup>3)</sup> aż do bioder, jako badyle, ażeby rana piersi tworzyła podobiznę rozpostartych skrzydeł orła!<sup>4)</sup>

Furja unosiła ich coraz bardziej, coraz dalej, w czem towarzyszyła im rytmiczna pieśń skalda młodego.

Była ona wyrazem nieustraszonego męstwa, pasji dzikiej, rozpętanej podmuchem żądy sycenia się widokiem nieszczęść i bólów pokonanych.

Była to pieśń straszna, rwąca do szaleństwa, ale ujęta w pewne całości trójczłonowe, o których nie zapomniał słuchacz-autor przy opisie swych wrażeń, mówiąc, iż:

„Pieniła się w jego piersi niepokromiona siła,  
dziko wyła rozpacz pokonanych  
i bezmyślnie szalała radość“.

„Wyrwało się z jego pieśni ponad wszystko dumne piękno  
łamania wszelkiego zakazu,  
niweczenia przeszkody,  
imania nieulekłą prawicą wszystkiego, co istnieje.“<sup>5)</sup>

Płynęła pieśń z głębin przeszłości poczęta na falach morskiego powiewu, a mistrz słowa wsparty o złom głazu nadbrzeżnego słuchał i przekładał melodję na obrazy.

Patrzył na nie i komponował dlań formę słowną: łączył brzemienne obrazowości słowa spójnikami, jak wyspy przesmykami, i grupował je w pewien archipelag zdaniowy. A kiedy „na skutek śpiewu

kosów i słowików wzruszała się  
śniada i żółta ziemia,

gliny i piaski, a z łona jej wonne konwalje tryskały“<sup>6)</sup>,

dojrzał łowca czarnego, który przybył wraz z wojskiem Rōrika na kaszubskie brzegi.

Czarny łowiec, noszący imię Smętka, czujący powiew wiatru morskiego, czynność swą spełniał zgodnie z rytmicznym napięciem widza—autora, który już w pełni pogrążył się w trójmiarowy poszum morza i wszystko pod kątem owego rytmu rad widział.

<sup>1)</sup> Str. 5.

<sup>2)</sup> Str. 5.

<sup>3)</sup> Str. 11.

To też i poczynania Smętka dostrajały się do ogólnego tempa, kiedy:  
*„Chodził ślad w ślad — smętny tropiciel — za ojcobójcami,  
 gryzącymi w sobie na miejscach samotnych wiekuiście nie do  
 zgryzienia zabójczy jad wspomnień o ciosie“.*

*„Rozżarzał aż do szaleństwa oczywistości pamięć uczynku,  
 podpowiadał fenomeny wydarzenia,  
 postokroć, po tysiackroć przyprowadzał widzenie  
 sprawy w to samo miejsce, w tę samą godzinę.  
 i wtedy sekretnym kluczem otwierał w duszy prze-  
 klęte drzwi jaskini nieposkromionej żalości, w której  
 się wieczny ogień pali“.*

*„Stawał niewidoczny a obecny,—sam,—nad legowiskiem syno-  
 bójców“.<sup>1)</sup>*

Tenże Smętek, ów wyraz pokusy i wyrzutów sumienia, w podobny sposób postępował i z niewiastami, poprzedzając całość zdaniową podwójne-  
 mi złożeniami, jakgdyby dla uwypuklenia ponęty zakazanej miłości, powa-  
 bem, której kusił do grzechu niewinne, a pełne temperamentu niewiasty.

Tak więc:

*„Gdy księżyc w pełni swem czarodziejskiem światłem przenika  
 mgły wiotkie jezior  
 i głębie lasów, gdzie mieszka trwoga,  
 gdy daleki śpiew słowiczy napełniał bugaje, piękne jego  
 przezgrzechy*

*kusiły do marzeń o zakazanej miłości  
 wszystkie serca kobiece,  
 straszyły je widokiem  
 szybkiego ubywania młodości,  
 przygasania czaru,  
 odchodzenia raz na zawsze mi-  
 łosnego wdzięku,  
 ukazywały niebezpieczeństwo zaniedbania  
 w rzeczy szczęścia...“<sup>2)</sup>*

Pęd jego działania stawał się coraz szybszy, zawrotniejszy, coraz to  
 większe zataczał kręgi, na obwodzie których widniała stara sadyba słowiańska.

Widz spojrział i zamyślił się na widok prastarego grodziszczca, które  
 miało swą specyficzną strukturę budowlaną. Pragnął w jakikolwiekbydz  
 sposób zaznaczyć ogólne zarysy budowy w wyobraźni czytelnika, nie wy-  
 trącając się z ogólnego rytmu. Toteż powziął myśl nową: dodać do wagi  
 słów nowych bierwion stylistycznych. I oto z pnia zdania nadrzędnego wy-  
 rosły konary zdań okolicznikowych celu, z których trzy środkowe ubrały się

<sup>1)</sup> Str. 1 —13.

w liście z potrójnych onomatopej złożonych, a boczne puściły pędy pod-  
 wójne, tak, iż całość stała się drzewem stylistycznym sadyby, do której  
 Smętek poprzez główną bramę (zdanie nadrzędne)

*„Popędzał straszdyła w skórze jeźowej,*

*I. żeby o ciemnej nocy wpadały z ziemi do niskich czar-  
 nych izb,*

*(poprzez podwójne przydawki przymiotne)*

*żeby naciskały odymione belki (z potrójnych ono-  
 matopej) aż do trzaskania—trzask—trzask—trzask,  
 żeby ciężkimi kopytami tupwały po powale (na któ-  
 rej widniały krokwie z potrójnych onomatopej) tup—  
 tup — tup,*

*żeby chodziły popod okna i czały się za węglami  
 (onomatopejami) szur — szur — szur,*

*II. żeby, gdy spać nie można, zaglądały do pieca i wymiatały  
 (podwójnym orzeczeniem) na ziemię rozżarzone węgielki“.<sup>1)</sup>*

W owej sadybie rozgościł się talent autora z całą swobodą. Wystąpiła  
 tu obrazowość nie tylko w samych obrazach i słowach ale w konstrukcji  
 zdania, które zdaje się być w swoim wykreśle planem prastarego grodziszczca.

Zdanie nadrzędne przybiera linję frontonu, wspartego o linję bocznego  
 obwarowania, utworzonego z dwóch zdań okolicznikowych, w których tkwią  
 mosty zwodzone, zbudowane z podwójnych przydawek przymiotnych z jednej,  
 a podwójnych orzeczeń z drugiej strony.

Wewnątrz obwarowania widnieją trójrzędnie ustawione zabudowania  
 (ze zdań okolicznikowych celu) zabezpieczone potrójnym ostrokołem  
 z onomatopej.

I żeby o ciemnej nocy wpadały z sieni do { czarnych } izb,  
 { niskich }

*żeby naciskały odymione belki aż do trzaskania*

{ trzask  
 trzask  
 trzask

*żeby ciężkimi kopytami tupwały po powale*

{ tup  
 tup  
 tup

*żeby chodziły popod okna i czały się za węglami*

{ szur  
 szur  
 szur

Popędzał straszdyła w skórze jeźowej,

II żeby, gdy spać nie można, zaglądały do pieca

i wymiatały na ziemię rozżarzone węgielki.<sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> Str. 15.

Tu autor myślą budowlaną—stylistyczną wzbija się do punktu najwyższego, raz jeszcze spoziera na brzegi morza pokryte kawałkami bursztynu, które

„Zawierały w swej głębi krynicznej

komary,  
muchy,  
moie,

skrzydełka wazek,  
nogi pajęczków,  
mrówki

maleńkie, niewidzialne chrząszczyki,  
ćmy,

szczątki kory i gałązek,

kwiatuszki,  
okruchy szyszek,

igły przedziwnych sosen,

jakich już nie posiada ta ziemia nigdzie, na całym swoim obszarze,

kępki mchu,

krople wody,

ziarenka piaskowe<sup>1)</sup>

i płynie z falami Wisły aż pod Toruń, gdzie spotyka Kopernika, badającego sklepienia niebios.

Dzielny badacz, wielki astronom, który w pojęciach mędrców świata całego „mógł wstrzymać słońce, wzruszyć ziemią“, zaimponował twórcy „Wiatru od Morza.“

Począł go bliżej obserwować i zauważył, iż z badań i dociekań wlewała mu się w duszę niezmierna radość i zadowolenie. Poczuł w sobie również pewną radość, płynącą ze swobody rządzenia słowem i jego właściwościami konstrukcyjnymi, tak, iż powstało uczucie wspólne, potężne, nieustępujące żadnej ziemskiej rozkoszy.

Bo

I „Jakaż rozkosz na ziemi mogła się była porównać z tą niebiańską zaiste rozkoszą, gdy olbrzymie ciała wszechświata

szły posłusznie wzdłuż linii i szlaków,

zajmowały stanowiska,

i znikły według wskazań,

które im w swym rachunku wyznaczył“

II „Jakaż rozkosz na ziemi mogła się porównać z tą niebiańską rozkoszą, gdy pokorne twierdzenia na marginesie cudzych mniemań, lub zuchelku papieru spisane, znajdowało swe nieomyłne przytaknięcie w biegach gwiazdozbiorów niezmiernych, obserwowanych na sklepieniu niebieskiem, w okresach czasu

<sup>1)</sup> Str. 30.

wyliczonych uprzednio, wśród zaćmień nieomylnie przewidzianych?“

III Jakaż rozkosz na ziemi mogła się porównać z tą niebiańską rozkoszą, gdy wyjaśnił prawo biegu rocznego tej ziemi, aż do jasnowidzenia rachunkiem stwierdzając położenie wciąż równoległe osi ziemskiej, gdy wywiódł przyczyny odmiany pór roku z równą

dokładnością,

jasnością

i niezrównaną prostotą,

jak skutki wykonywuje sama

czynna i tworząca natura

na wiosnę i w lecie,

pod jesień i w zimie<sup>2)</sup>

Widok podobnego, tysiącami gwiazd usianego nieba, zapal niezmierny tworzenia wywołały na płonącej wyobraźni widza—autora, iż, podobnie jak Kopernik, „Postanowił nadać myślom swym znamię czynu, rzucić je ze swej wieży między ludzi, zaopatrując je w wielkość ukrytą, w głęboką rozległość i nieskończoną użyteczność“<sup>2)</sup> czytelnika—stylisty.

Jan Makaruk.

## NASZE RYMY.

### I wszędzie trudność.

Już nie wytrzymam z temi lekcjami!

Głowę — to muszę zbić obręczami,

Bo mi już pęka z tego wszystkiego,

Gdy jest klasówka z lekcji polskiego,

A w ławce skrótu niema żadnego.

Albo, gdy dziwy z tej obcej mowy

Zaczną ci właczać do biednej głowy.

To przyznać muszę, gdy mam być szczerzy,

Że wszelkie „verby irregulierey“

Język ci plączą, głowa się łamie,

Nic nie przesadzam, wcale nie kłamie

Å gdy piłować zaczną z siarczanów,

węglowodorów, bromochloranów,

To rozum pojąć nie jest już w stanie.

Wzór wyprowadzić! — O „Panie, Panie“!

<sup>1)</sup> Str. 225. <sup>2)</sup> Str. 226.

Jeszcze to fraszka wszystkoby było,  
 Gdyby to tylu ludzi nie żyło,  
 Tych wielkich, sławnych matematyków,  
 Tylu poetów, tylu fizyków.  
 I tym podobnych tak dużo, dużo,  
 Którzy nauce jak mogą służą,  
 I nam też służą, aż w takiej mierze,  
 Że złość i rozpacz człowieka bierze.  
 A logarytmy, wiedzy wybryki??  
 — Trudno wytrzymać. Niech żyją „bryki“!!)

*El-te.*

### Pisziesz do „Łącznika“?

A, Jasiu! pisziesz do „Łącznika“? —  
 — Ee! Gdzie tam. Sposobność umyła.  
 Mam trochę roboty.  
 Znow inne kłopoty.  
 Ale, mówiąc szczerze,  
 Praca mnie „nie bierze“  
 — A więc źle? Co ci to dolega?  
 — No... widzisz... tyś dobry kolega —  
 Zaraz ci wyjawię,  
 Rzec jasno postawię:  
 Jacyś ludzie byli,  
 Którzy wymyślili  
 Wielką gramatykę,  
 A w niej fonetykę.  
 No i ci powiadam,  
 Że raz odpowiadam  
 Z onej gramatyki  
 A w niej z fonetyki  
 Nawet dosyć składnie,  
 No i... bardzo ładnie,

(Trochę nie umiałem  
 więc... daturj — bujałem),  
 Ale się poznałi  
 I wiesz co mi dali...?  
 ...Lepiej już nie gadać  
 Gdzie mi teraz składać  
 Rymy do „Łącznika“,  
 Kiedy bratku złoty  
 Mam takie kłopoty.  
 — Ja kiedyś myślałem  
 Nawet i pisałem,  
 Rymy układałem,  
 Ale nie oddałem,  
 Bo z góry wiedziałem,  
 Że się z nich wyśmieją.  
 Rzekną, że dziadowskie,  
 Albo częstochowskie  
 Moje rymy boskie!

A.

<sup>1)</sup> Redakcja nie solidaryzuje się z poglądem zawartym w tym okrzyku.

## KĄCIK RADJOWY.

### Radio a wychowanie.

Radjofonja wzbudziła największy entuzjazm wśród młodzieży, porywając młode i impulsywne umysły za sobą. Nic dziwnego, wszak bajka, która niedawno jeszcze mąciła umysły ludzkie, dzisiaj staje się rzeczywistością i to taką, którą można zrozumieć i wprowadzić w życie.

A czasem przeciętny radioamator nie zastanawia się nad tem, że radio stanowi specjalny rodzaj ćwiczeń nadzwyczaj przyjemnych i podświadomie kształtujących.

Młody adept radjofonji nie zdaje sobie czasem sprawy, że montując jakikolwiek bądź odbiornik i pokonując przytem różne przeszkody przy montowaniu aparatu, kształci się jak można najlepiej.

Jakaż wówczas zmiana zachodzi w psychice młodego konstruktora, gdy praca jego nie poszła na marne, a po całym szeregu trudów i rozczarowań odnosi radosny triumf i dopina celu — odbiornik działa. I ten właśnie fakt odczuwania zadowolenia z osiągniętego zwycięstwa, fakt, będący w zasadzie nagrodą wytrwałej i zmuśnej pracy, jest najlepszym sprawdzianem i czynnikiem wpływającym dobitnie na kształcenie naszej woli.

Nic dziwnego, że „radjoci“ nabierają takich walorów o pierwszorzędnym życiowym znaczeniu jakimi są: stanowczość, wytrwałość i oszczędność, wynikająca z psychiki każdego młodego radio-amatora.

Pozatem wyłonił się w tej dziedzinie pierwiastek rywalizacji szlachetnej i twórczej, rywalizacji o efektownych rezultatach.

Ileż ciekawych projektów, konstrukcyj, ileż praktycznych ulepszeń wprowadziły w tej dziedzinie młode, pełne zapału umysły.

Ciągle obcowanie radio-amatora z szerokim światem rozwija go i kształci duchowo. Każdy prawie radio-amator, słuchając kilka godzin dziennie audycji, skierowuje mimowoli uwagę swą na języki obce, wskutek czego zupełnie mecharicznie, jedynie drogą tylko osłuchania, przyswajają sobie dany język i jednocześnie poznaje jego autentyczny akcent.

Radioamatorstwo zrodziło się wśród młodzieży samorzutnie, bez niczyjej inicjatywy.

Zainteresowanie się jednak sfer wychowawczych tym doniosłym w rozwoju młodzieży czynnikiem, jakim jest radio, jest bardzo znikome.

Nas, jako przyszłych szermierzy oświaty, ten bezprzecnie doniosły wynalazek w życiu i rozwoju ludzkości, jakim jest radio, powinien bardzo obchodzić. Parafrazując słowa wieszczą, pragnieniem i dążeniem każdego nauczyciela winno być: „Oby radio-aparaty jaknajliczniej zbłądziły pod strzechy“.

*Cz. Omislanowicz.*

## NASZE ŻYCIE.

### W sklepiku.

Dzwonek na odrabianie — sklepowy odetchnął.

— Teraz przynajmniej będę mógł zająć się jakąś tam psychologią, lub metodyką.

I z wielkim zadowoleniem podszedł do drzwi włożył w nie klucz, przekreślił, wrócił na miejsce i zabrał się do studjowania Titchenera. Nagle do drzwi ktoś zapukał. Sklepowy nie zwraca uwagi na podobne, zresztą dość częste głosy. Pukanie jednak powtarza się.

— Hm — jakiś „grzeczny“ trzeba mu otworzyć, ale dam nauczkę, że takich spraw teraz się nie załatwia.

Z tą myślą skierował się do drzwi, z za których pukanie powtarzało się coraz częściej. Otworzył drzwi ze słowami:

— Czy nie wiesz o tem, że teraz się nie sprzedaje?

— Ależ słuchaj — odezwał się głos z za drzwi — wiem o tem, ale widzisz, widzisz, napisałem sobie plan lekcji i nie mam go czem przybić do ławki, więc bądź łaskaw i sprzedaj mi jedną pineskę.

— To może dwie, już za cały grosz?

— Ale kiedy widzisz, mnie dwie są niepotrzebne...

— Przecież pół grosza ci nie wydam.

— No to może co innego będzie za pół grosza?

— Nic nie będzie, bierz dwie pineski i nie przeszkadzaj.

Klient zabrał swój „towar“ i z żalem w sercu, że kupił niepotrzebnie jedną pineskę za całe pół grosza, poszedł do klasy. Zaledwie sklepowy zdążył za nim zamknąć drzwi i wziąć się do książki, aż tu znowu ktoś kołaczę do drzwi.

— A żeby ich... pomyślał kooperatysta. — ten napewno zechce igłę — za grosz — i otworzył drzwi.

— No i czego chcesz — rzekł na wstępie.

— A wiesz, tak mi bardzo potrzebna jest... no wiesz... zapomniałem, na śmierć zapomniałem co.

Tu sklepowy zaczął się bawić w suflera: — może pasta do butów, może do zębów, mydło, ołówek, zeszyt, różowa koperta, struna...

We wszystkim spotykał tylko u klienta ruch głowy w płaszczyźnie nieokreślonej.

— A może igła — powiedział zrozpaczony sklepowy.

— O, jakbyś wiedział, po to tylko przyszedłem, ale widzisz jestem tak zmęczony, bo to jutro teoria gimnastyki...

— Żeby cię licho... — tyle czasu zmarnował mi nad marną igłą.

Klient zapłacił cały grosz i poszedł, ale przy drzwiach sklepowy przy pomnił mu:

— Powinieneś wiedzieć, że w odrabianie nie sprzedaje się.

— No, a jak taka pilna sprawa... wiesz za tydzień przecież ma być wizytacja Hufca, trzeba czapkę poreperować --- z temi słowami wyszedł. Zaledwie zamknął drzwi, gdy w głębi korytarza rozległ się głos dzwonka ogłaszający pół odrabiania.

— No, dobre to sobie — pomyślał młody spółdzielca — ale ja jeszcze kompletnie nic nie odrobiłem. I, aby powetować stracony czas, zabrał się do studjowania otwartego już Titchenera. Ale czy na długo?

Grom. B.



W naszym gabinecie dentystycznym.—Jeden z mieszczczywych.

### Wrażliwy.

— Kupuj, podręcznik do...? — opuszczam 50%.

— Co? sprzedajesz? dlaczego?

— Widzisz — zupełnie straciłem ochotę do tego przedmiotu. Od czasu, jak dostałem „dwójkę“, zupełnie przestałem się uczyć. Uczyłem się dotąd i miałem dwa, — nie będę się uczył i to samo będzie. — Szkoda pracy.

— Żle robisz. Nie pracy żałuj, lecz siebie. Podręcznik zostaw, a dwójką się nie przejmuj, bo jak słyszałeś dla zachęty postawiona. Metodyka mówi...

— Co tam, metodyka źle mówi. Nie miałbym najmniejszego żalu, gdyby dwójka była za karę, ale dla zachęty?... O tę właśnie zachętę mi chodzi, gdyby ci nie dla kary, a dla „zachęty“ dali z piętnaście kijów... czy zachęciłby cię tem?... co? No, kupujesz, czy nie? — nie? -- Mogłeś tak od razu gadać..!

F... S.

W dniu 31. I. 1929 r. kurs V, im. Kazimierza Promyka obchodził doroczne święto klasowe.

P. Annie Nagórskiej, byłemu Prefektowi Ojcu Ambrożemu Menderze — za nadane w dniu tym życzenia, zaś Dowództwu 34 p. p. za pomoc w organizowaniu uroczystości — składa serdeczne podziękowanie

Kurs V-ty.

**Echa z lekcji.**

— Panowie. Uwaga! W zastępstwie mam prowadzić na naszym kursie lekcję rysunków. Uprzedzam, że będzie to wzorowa jednostka metodyczna, dostosowana do wszelkich wymagań metodyki. Teraz przeczytam wam coś o architekturze.

Więc... „Bardzo ważną rzeczą w budownictwie jest bryła“.

— Te, co to jest bryła? — bo ja nie wiem.

— To źle. Uwaga! (stosując h i t e) — Kto mu wytłumaczy?

— Ja. Bryła jest to taka bryłowa... figura.

— Ślicznie. Jakbyś wiedział. Hicciu zrozumiałeś?

— Nie. Zresztą to jest inna.

— Taka sama, ale już nie zrozumiesz tego. „... Ze względu na bryłę bardzo ładny jest kościół...“ gdzie — Wacek?

— W Honolulu.

— Głupiś! Kto wie?

— W Paryżu.

— Tam ładny, ale to jeszcze ładniejszy, no... w Rzymie, tam gdzie Ojciec Święty.

— Aa?... widziałeś?

— Nie widziałem, ale wiem — nie bez dumy objaśnia kolegom p. o. profesora.

— A jaki to kościół?

Tutaj już zapas jego wiedzy w tym kierunku wyczerpał się całkowicie, ale nie straciwszy zimnej krwi, wybrnął z tego szczęśliwie.

— Świętego Jacka — to jest — nie... Pawła i Gawła. Ale ile już minut upłynęło?

— Dwadzieścia pięć.

— To może zrobimy małą rekreację. Widzę żeście już trochę tego... Zaspiewajmy: „Pojedziemy na łów“...

Ponieważ niewielu się tem zainteresowało, więc „nauczyciel“ odśpiewawszy solo wymienioną piosenkę, odczuł rzeczywiście zbawienny skutek rekreacji, bo za chwilę z poprzednią powagą i namaszczeniem prowadził dalej lekcję.

— „Dachy domów bardzo zdobią facjaty...“ Facjaty... Co to jest facjata?

— To jest taki interes na dachu — objaśnił jeden z „mądrzejszych“.

— Jaki interes? może komin?

— Nie, taki sobie interes.

— No, chyba rozumiałeś? — zapytał „ważny“, sam nic nie rozumiejąc i nie zważając na przeczące okrzyki — urządził rekapitulację.

— Powiedz, co to jest bryła w architekturze? — zapytał jednego.

— Nie kapuję tego.

— Ale jak to rozumiesz? no, śmiało...

— Wcale nie rozumiem.

— Toś laik. Po całogodzinnem omawia... dzwonek przerwał jego wywody, więc wskoczył na krzesło i krzyknął:

— Uwaga! Panowie! Ponieważ cel lekcji nie został osiągnięty i nie macie żadnego pojęcia — co to jest bryła i facjata, na przyszłej lekcji nastąpi pogłębienie materiału. *Febus.*

**Lekcja teorii dydaktycznej (wyjątek).**

— Profesor z za katedry: Co wiesz o Piramowiczu?

Uczeń z ławki: Że... że... że był...

— No, to my wiemy, że był. -- Co dalej?

Że był Ormianinem z pochodzenia...

— Co jeszcze, no! co on napisał?

Że był Ormianinem i napisał... napisał... (te--co on napisał?)... zaraz, zaraz panie profesorze... aha, dzieło p. t.: „Nauczyciel powinności“.

— Dosyć, proszę usiąść. Powie nam P. -- co napisał Piramowicz? Ksiądz Piramowicz, z imienia Grzegorz, napisał ogromnie ważne pod względem dydaktycznym i dosyć obszerne dzieło p. t.: „O powinnościach nauczyciela“...

— Co dalej, — może jeszcze co napisał? — czy już nic?

E... e... tego... nic a nic panie profesorze. ponieważ miał dużo roboty, był przecież sekretarzem Komisji Edukacyjnej i t. d. więc... tego... nie miał czasu bawić się w nazbyt obszerne pisanie przepisów, ale niezmordowanie pracował dla oświecenia narodu.

— Właśnie o tej pracy chciałbym usłyszeć.

A no: żył w latach, od tysiąca siedemset... e... e... e... e...

— Mniejsza o lata. Co Piramowicz działał dla oświecenia narodu?

Przez lat 19 był uczniem jezuckim, a przez drugie 19, sam był jezuitą.

Potem był przyjacielem Potockiego, potem... pisał po nauczycielsku... a potem... potem na nieszczęście umarł w Międzyrzeczu, jako gorliwy ksiądz tamtej parafji, gdzie również został pochowany i po dziś dzień spoczywa.

— Dosyć, proszę usiąść! Jeżeli w dalszym ciągu tak się będziecie do lekcji przykładali, to mi się jakoś zdaje, że wasza matura również przełoży się conajmniej na rok.

— Panie profesorze, w tym roku prawdopodobnie matury nie będzie, ale — z okazji dziesięciolecia... *Pioterek.*

**Karnawałowe chwile.**

Gorączkową krzątaniem przerwał gwizd, zwiastujący przybycie kolejki z Białej. Lokatorzy t. zw. „Hotelu nędzy“ w jednym momencie znaleźli się przy oknie.

— Idą, krzyknął ktoś z „szarego końca“, — co nic prócz pleców poprzednika widzieć nie mógł.

— Idą, idą, — podchwycili inni, którzy w żaden sposób nie mogli pogodzić się z tą myślą, że mogły nie przyjechać.

— Czekaj! — dorzucił ktoś z rezerwy, bo w rzeczywistości nikt nie szedł.

To oczekiwanie zaczynało niektórych niepokoić. Skłonniejsi do pogodzenia się z losem z cichą rezygnacją opuszczali stanowiska przy oknie. Powoli uciszało się.

Naraz ktoś, co na przyokiennej placówce wytrwał do ostatniej chwili, przybrał pozę zdradzającą chęć przemienienia całego organizmu w organ wzroku. Jedno znaczące kiwnięcie ręką starczyło do zgromadzenia wszystkich przy oknie. Każdy pragnąłby przynajmniej raz spojrzeć a potem — choćby i bawić się. Niestety! Nie jeden musiał przyjść na świat pod t. zw. nieszczęśliwą gwiazdą, więc tego szczęścia dostąpić nie mógł.

Tymczasem przybyła para za parą przemaszerowały boisko i zniknęły we drzwiach „Czerwonego“ gmachu.

Niebawem wszyscy znaleźli się na sali „balowej“.

Nim zdołano ochłonąć z wrażenia, spowodowanego widokiem tyłu i takich gości, orkiestra zagrała coś bardzo powolnego.

... I popłynęły rzewne tony, posunęła się para za parą.

Zadrzały ściany, ozwały się miarowe brzęki szyb, a postaci ze ścian spoglądając, jakby wystraszone, ze zdziwieniem zdawały się powtarzać:

— „Tyle par“,

„tyle młodych par“.

— „Ach rzeczy-“

To też gdy ta młódz rozpogodzona i rozstłoneczniona bawiła się w najlepsze, wówczas nawet wizerunek Najwyższego Dostojnika Rzeczypospolitej, który również różnym chwilom uroczystym tej młodzi przyglądał się, z większą niż zwykle pogodą, z bardziej uśmiechniętym wyrazem twarzy zdawał się udzielać swego ojcowskiego przyzwolenia.

Tak nastrój zabawny rósł. Swoboda, młodzieńcza radość życia wycierały z każdego oblicza. To też gdy po powłóczystych walczykach ozwała się



Przybył do naszego inwentarza: „koń“, oto „Zabawy karnawałowe“—wolytze na koniu.

wiecie tyle młodych par“ — kończyły inne z kilkuletniego snu obudzone.

I tak budziły się kolejno, spoglądały, stwierdzały, że kołujące pary są rzeczywistością i jakby na znak duchowej harmonji z bawiącymi się, zaczęły chwiać się, niby w takt podrygiwać.

— A bo to różnych scen w różnych czasach były świadkami; były niejako powiernikami myśli tej młodzieży, wzlotów jej ducha, jej snów i marzeń.

skoczna nuta „Polki“, gdy klarnety z akompanjamentem uderzały w jedno potężne — U ha!, sala zamieniała się w teren huraganowy. Sadała w zawrotnym pędzie jedna para za drugą, zawiątała w miejscu, dopadała przeciwnego końca i w tymże tempie pędziła z powrotem. Szum łącznie z miarowym wybijaniem rytmu tańca zagłuszał muzykę, która wszakże ulegając nastrojowi, od czasu do czasu odzywała się ze zdwojoną siłą. Pary tymczasem kupiły się, formowały się w długie kolumny i znów pędziły z siłą w takt bez końca...

Tak kolejno szły następne „Polki“, walce, obertasy, niemniejszym powodzeniem i wzięciem cieszył się „Mazur“.

— Szkoda tylko, że i godziny, jakby porwane ogólnym pędem, płynęły dziwnie prędko. Rozbawione twarze nie zdradzały najmniejszej chęci pójścia na spoczynek. Cóż jednak począć?... Gasła melodia „Pożegnania“ a wślad za nią cichł „Potężny Alli-Baba“, przebrzmiewały zdaje się bezpowrotnie „Publiczki“, nawet figlarny „o Dolores“ zdawał się zapominać o swoich prośbach — marzeniach. Rozkołysane niby przestwory oceanów osobowości uciszały się wobec twardej rzeczywistości; jej szepty, że „za chwilę razem nie będzie uas“, — i że w sercach jest tęsknota, smutek i żal pozostaną, — były ostatnim finałem, nielicznych karnawałowych chwil.

I. Kot.

## KRONIKA.

- 15-XII-28 r. Utworzenie w naszym Zakładzie gabinetu dentystycznego i objęcie stanowiska dentystki przez p. Gelbardową.
- 20-XII. Uroczysta wigilijna przy choince. Po słowie wstępnym p. Dyrektora nastąpiła wigilijna zapoczątkowana opłatkiem i urozmaicona niespodziankami.
- 21-XII. Zakończenie nauki i rozjazd uczniów Seminarjum na ferje Bożego Narodzenia.
- 3-I-29 r. Rozpoczęcie nauki szkolnej po ferjach Bożego Narodzenia.
- 13-I. Zmiana personelu redakcyjnego „Łącznika“. Nowy zespół redakcyjny po ustąpieniu kolegów z kursu V przedstawia się następująco.
  1. Redaktor — Br. Oborski — kurs IV.
  2. Administrator — Jan Seweryn — kurs IV.
  3. Sekretarz — St. Koślacz — kurs III.
  4. Kronikarz — K. Borkowski — kurs III.
  5. Współpracownik — L. Olesiejuk — kurs IV.
  6. Współpracownik — W. Górczyński — kurs IV.
  7. Współpracownik — T. Panasiuk — kurs III.
- 26-I. Wizytacja hufca szkolnego przez p. płk. Bittnera.
- 27-I. Powstanie drużyny harcerskiej w naszym zakładzie.
- 31-I. Zakończenie I-ego półrocza i rozdanie cenzur.



- 31-I. Święto klasowe kursu V im. K. Płomyka.  
 31-I. Zabawa uczniów kursów IV i V przy udziale koleżanek z wyższych klas żeńskiego gimnazjum im. E. Piater w Białej Podlaskiej.  
 31-I—5-II. Przerwa półroczna.  
 9-II-1929. Wyjazd uczniów kursu IV i V-go na zabawę urządzoną przez koleżanki Gimnazjum Żeńskiego im. Em. Piater w Białej Podl.

## Kącik Szkoły Ćwiczeń.

### Z I M A.

Po bogatej jesieni przyszła do nas zima. Mroźny wiatr północny hula po polach pokrytych śniegiem, targa drzewami i gwałtem z nich strąca resztki liści, które jeszcze jesień pozostawiła. Groźna pani zima zjawiała się w towarzystwie śniegu, lodu, mrozu i śnieżnej zamięci.

Przybyła. Jak zimno o! jej! U zórawi studziennych wiszą sople lodu, staw pokrył się lodową powłoką, a w powietrzu płatki śniegu wirują, migoczą niby rój pszczoł, co wyfrunął bartnikowi z pasieki; a od szybkiego ich ruchu, aż boją oczy. A gdy rankiem rzucisz okiem w pole, ujrzysz tylko białą pustynię; wszystko pokryte białym kożuskiem, na dachu leżą białe płyty śnieżne. Gdy słońce wyjrzy z za chmur i złotemi swemi promieniami te białe pola oświeca, wtedy pola lśnią się milionami brylantów o wszystkich kolorach tęczy. Oko zachwycone czarodziejskim widokiem — z ochotą buja po tych śnieżnych błoniach i przypatruje się zimowemu krajobrazowi.

Tylko drzewa stoją smutne, drzemiące, nieczule na uściski srogiego mrozu, czekając na królowę wiśnie, która przed okrutną zimą w cieplejsze uszła kraje. Ale ona wróci i do nowego życia zbudzi cały świat. Ciężkie czasy nastały dla ptasząt. Żółty trznadel, co to jeszcze w jesieni śpiewał wesoło, teraz przychodzi do wioski i prosi o ziarno zboża, lub okruszyny ze stołu; zięba zgłodniała obiera ostatnie jagody z głogu, co stoi za domem. Lękliwy gawron zbliża się do mieszkań ludzkich i patrzy, czy się czasami co w łakomy dziób nie uda schwycić. Wścibski wróbelek w szarym płaszczyku, o szerokiej rudej główce ma teraz post. Wrony włączają się po drodze i kraczą. I tak przechodzi mroźna zima, smutno lub wesoło.

*J. Wielgosink.*

ucz. VII-go oddz.

---

Cena pojedynczego numeru 50 gr. Dla uczniów zamieszkałych w internacie przy Państw. Seminarjum Naucz. w Leśnej Podlaskiej 60% taniej.

---

Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania zmian w nadsyłanych artykułach.

---

Rękopisów nadsyłanych nie zwraca się.

---

Wydawca: Państwowe Seminarjum Nauczycielskie w Leśnej-Podl.

---

Opiekun: Prof. Br. Lubicz-Nycz.

---

Redaktor: Bronisław Oborski.

---

„Drukarnia Polska” dzierz. W. Plotrowski w Białej Podl., ul. Prosta № 2.